

ELIZA ORZESZKOWA



*Meir Ezofowicz*

# Wstęp

U szczytów cywilizacji zbiegają się i zgodnie łączą się ze sobą różnorodne gałęzie wielkiego drzewa ludzkości. Oświata najlepszym jest apostołem powszechnego braterstwa. Wygładza ona chropowatości zewnętrzne i ścina wewnętrzne wybujałości, pozwala przyrodzonym cechom plemion różnych rozwijać się obok siebie we wzajemnym poszanowaniu, same nawet religijne wierzenia oczyszcza z narośli wytworzonych przez zmienne czasy, a sprowadzając je do najprostszego ich wyrazu sprawia, iż spotykają się one ze sobą bez wstrętów i szkód.

Inaczej dzieje się w głębokościach, w społecznych dolinach, nad którymi nie świeci słońce wiedzy. Tam ludzie są jeszcze dziś takimi, jakimi byli w odległych stuleciach. Czas, kopiąc mogiły przodkom ich, nie zagrzebał wraz z nimi form i treści, które, wciąż odradzając się, tworzą pośród zdumionych społeczeństw niepojęte już im anachronizmy. Tam istnieją odrębności, ostrymi kantami odpychające wszystko, co nie jest nimi, czołgają się nędze fizyczne i moralne, z imienia nawet nie znane tym, którzy stanęli u szczytów. Tam są zbiorowiska ciemnych postaci odskakujące od jasnego tła reszty świata w mętnych zarysach sfinksów strzegących grobów i szeroko rozkładają się skamieniałości wiar, uczuć i obyczajów, istnieniem swym zdające się świadczyć o tym, że geniusze wielu stuleci jednocześnie nad światem panować mogą.

Patrycjat i plebs przeistaczając z upływem czasu naturę swą i rację swego bytu zamienili dziś dawne swe role. Pierwszy stał się obrońcą i krzewicielem równości, drugi uparcie trwa przy wyróżnieniach i odrębnościach. I jeżeli niegdyś przemoc i uciski przybywały od tych, którzy stali wysoko, ku tym, którzy w prochu i pokorze robili się na głębokościach, teraz z głębokości podnoszą się niezdrowe wyziewy te i ciężkie kamienie obrazy, które zatruwają życie i utrudniają drogi wybrańcom cywilizacji.

Nieszczęsne i unieszczęśliwiający doliny takie, otoczone i z resztą świata rozdzielone grubym łańcuchem gór z mgieł i ciemności, istnieją w społeczeństwie izraelskim również jak w innych, więcej nawet niż w innych. Zbyt przedłużone istnienie ich wynikiem jest wielu przyczyn dziejowych i cech plemiennych. Dziś są one zjawiskami wabiącymi ku sobie wzrok myśliciela i artysty niezmiernym wpływem, który wywierają dokoła, i niepospolitością kolorytu swego, na który składają się mroki tajemnicze i przerysujące je jaskrawe ognie.

A jednak — któż bada je i zna? Ci nawet, których jedność krwi i tradycji pociągać by powinna ku miejscom tym zagubionym w ciemnościach, nie posyłają ku nim malarzy ani apostołów, nie zawsze nawet wierzyć chcą w ich istnienie.

Jakże, na przykład, zdziwionym byłoby towarzystwo izraelskie zgromadzone w największym z miast krajowych, złożone z panów wykształconych, uczonych, oddających się zawodom stojącym na czele umysłowości ludzkiej, i pań, które we wdzięku, wykwintności, dowcipie nie ustępują częstokroć najwydatniejszym postaciom kobiecym innych społeczeństw — jakże zdziwionym byłoby towarzystwo to ubrane w czarne fraki i jedwabne suknie, gdyby ktokolwiek opowiadać mu zaczął nagle o tym, co to jest Szybów i co się dzieje w Szybowie!

Szybów? na jakiej planecie znajduje się miejsce to? a jeżeli na naszej, jaka je zamieszkuje ludność, z białych, czarnych czy brązowych ludzi złożona?

Otóż, czytelnicy, podejmuję się zaznajomić was z tą głęboką, bardzo głęboką doliną społeczną, która nosi tylko co wymienioną nazwę. Niedawno odegrał się w niej dramat ciekawy, godzien życzliwego spojrzenia waszego, silnego uderzenia serca i długiej, smętnej chwili zadumy. Że jednak dla pełnego uwydatnienia faktów i postaci należy ukazać je na tle, wśród którego powstały one i rozwinęły się i w którego głębokich perspektywach mieszczą się żywioły będące przyczyną ich bytu, pozwólcie, abym przed odsłonięciem zasłony ukrywającej pierwsze sceny dramatu opowiedziała wam w krótkich rysach zawartą *h i s t o r i ę m a ł e g o m i a s t e c z k a*.

\*

Daleko, daleko od tej gałęzi kolei żelaznych, która przerysowała białoruskie strony, daleko nawet od przebiegającej je spławnej rzeki Dźwiny, w jednym z najustronniejszych

zakątków, jakie dotąd jeszcze istnieć mogą w Europie, pośród gładkich, cichych, rozległych równin, na zbiegu dwóch szerokich piaszczystych dróg, które wywijając się spod skłonów bladego nieba znikają w głębiach czarnego lasu — szarzeje gromada kilkuset domostw mniejszych i większych, tak ściśle zbliżonych ku sobie, że patrząc na nie można by rzec, iż były one kiedyś w wielkiej jakiejś trwodze i zbiegły się tak ku sobie, aby we skupionej gromadce móc łatwiej zamieniać się szeptami i łzami.

Jest to Szybów, miasteczko zamieszkiwane przez izraelską ludność wyłącznie jeszcze niż wiele innych miejsc podobnych, całkiem prawie wyłącznie, bo z wyjątkiem jednej tylko uliczki znajdującej się na samym skraju miasteczka, przy której w kilku chatach i dworach mieszka kilkudziesięciu bardzo ubogich mieszczan i bardzo cichych, starych emerytów.

Jedyna też to jest uliczka, wśród której panuje cisza i w lecie kwitną skromne kwiaty. Gdzie indziej nie ma kwiatów, ale panuje wielki i nieustanny gwar. Gwarzą tam ludzie i ruszają się nieustannie, zapobiegliwie, namiętnie we wnętrzach domostw i na ciasnych, błotnistych przejściach noszących nazwę ulic, i na okrągłym, dość obszernym rynku pośrodku miasteczka umieszczonym, dokoła którego otwierają się niskie drzwiczki cuchnących kramików, na których po cotygodniowych targach sprowadzających okoliczną ludność pozostaje niezmierna i nieprzebrana ilość błota i śmiecia, nad którym na koniec panuje wysoki, ciemny, dziwnego kształtu dom modlitwy.

Budowa ta jest jednym z rzadkich już okazów architektoniki izraelskiej. Malarz i archeolog mogą zatrzymać na niej wzrok swój z jednostajną ciekawością. Od pierwszego zaraz rzutu oka poznać można, że jest to świątynia, jakkolwiek pozór jej czyni ją niepodobną do wszystkich innych świątyń. Cztery jej grube, wysokie, ciężkie ściany zarysowują monotonne linie ogromnego czworokąta i mają ciemną, brunatną barwę przyoblekającą ją piętnem powagi, starości i smutku. Stare też to są, odwieczne ściany niezawodnie, bo podłużnymi pasy porasta je tu i ówdzie zielonawy mech. U góry, wysoko, przerzyna je szereg długich, wąskich, głęboko osadzonych okien, przypominających kształtem swym strzelnice warownych murów; powyżej zaś całą budowę okrywa dach, którego trzy ciężkie, wzajem na siebie

opadające piętra podobne wydają się do trzech brunatnych, omszonych, olbrzymich grzybów.

Wszystko, co tylko okazańszy posiada pozór i do ogólnego użytku służy, skupia się tu i chroni pod osłoną brunatnych ścian świątyni i grzybiastego jej dachu. Tu, dokoła obszernych dziedzińców, stoją przyszkółki, chedery, miejsca zgromadzeń zwierzchności kahalnej; tu przysiadł niziuchny, czarny domek o dwóch okienkach, istna lepianka, którą od kilku już wieków i wielu pokoleń zamieszkują rabini ze słynnej w gminie i daleko poza gminą rodziny Todrosów pochodzący; tu na koniec panuje zawsze czystość wzorowa, a choć gdzie indziej, w jesiennych szczególnie i wiosennych porach, ludzie topią się niemal w błocie i zakopują w śmieciu, podwórze szkolne okrywają zawsze suche i białe kamienie; źdźbła słomy nawet trudno by na nich dopatrzeć, bo jeśli i znajdzie się kiedy jakie, wnet podnosi je ręka przechodnia, dbałego o piękność miejsc ścielących się do stóp świątyni.

Jakie znaczenie Szybów posiada dla ludności izraelskiej zamieszkałej w stronach białoruskich, a nawet dalej jeszcze, na szerokich przestrzeniach Litwy, wniesć można z kłopotliwego dość wydarzenia, które spotkało szlachcica pewnego, więcej wesołego niż mądrego, w rozmowie z pewnym Żydkiem-faktorem pokornym, więcej jednak dowcipnym niż pokornym.

Żydek-faktor stał u drzwi gabinetu pańskiego, pochylony nieco ku pańskiemu obliczu, uśmiechniony, gotów zawsze do sprężystego poskoku w celu usłużenia panu i do dowcipnego słówka w celu oburzenia dobrego jego humoru.

Pan był w dobrym humorze i żartował z Żydka.

— Chaimku — mówił — czy byłeś ty w Krakowie?

— Nie byłem, jaśnie panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek uklonił się.

— Chaimku, czy byłeś ty w Rzymie?